

Park Krajobrazowy Międzyrzecza Warty i Widawki

Czesław Grądzki - wspomnienia (fragmety stron 49-55)

Zaczęły napływać ulotki, odezwy, w których rząd tymczasowy głosił, że "wszystkie ziemie zamieszkałe przez lud polski mają być Polską Ludową". Rząd ma rozdać ziemię obszarników w ręce chłopów, która im się słuszenie należy. Następowaly szybkie zwroty i przemiany w życiu chłopów. Wierzono i nie wierzono tym wiadomościom. Było to wszystko tak nagłe, że trafiało do nieprzygotowanych jeszcze umysłów chłopskich. Ale rzeczywistość ukazała się tak, jak zaistniała i stała się faktem.

Pamiętam jeszcze dziś, jak ojciec przyszedł do domu, zwołał wszystkich, którzy byli w domu i w wielkiej ciszy odczytał nam treść otrzymanej ulotki od znanego mu zaraniarza i ludowca należącego do PSL Wyzwolenie ob. Wojciecha Mirowskiego ze wsi Pruszków tejże gminy, powiatu łaskiego, który w tym czasie organizował już ruch ludowy na terenie swojej gminy i powiatu. Ulotka zawierała treść "manifestu listopadowego", ogłoszonego przez Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej.

W manifestie tym rząd ogłosił, że Republika Ludowa będzie obejmowała wszystkie ziemie zamieszkałe przez lud polski. Dalej głosił równouprawnienie wszystkich obywateli bez różnicy pochodzenia społecznego, wiary i narodowości, przyznawał prawo do wolności sumienia, druku, zgromadzeń, pochodów, zrzeszeń, organizowania związków zawodowych. Zapowiadał upaństwowienie lasów, wprowadzenie ośmiogodzinnego dnia pracy. Mówił o zgodnej współpracy z narodami: litewskim i białoruskim, ukraińskim, czeskim i słowackim, o wzajemnym uszanowaniu się jako równych narodów.

Manifest wzywał chłopów, robotników, inteligencję do wzięcia w swe spracowane mocne dłonie odpowiedzialności za wielką, wolną i zjednoczoną ojczyznę. Pamiętam, jak po odczytaniu tej ulotki dziadek z ojcem płakali z radości, że nareszcie doczekali się wolnej ojczyzny - Polski Ludowej. Wielka radość zapanowała w izbie. Dziadek kazał babce wyciągnąć wszystko, co miała najlepszego w komorze. Najedliśmy się wtedy do syta i do dziś pamiętam ten wieczór. Na drugi dzień od samego rana pełno było sąsiadów, którzy przychodzili do ojca, ażeby im odczytał ulotkę i radowali się wszyscy, że będą zjednoczeni w jednej wielkiej ojczyźnie. Ojciec latał gdzieś po dalsze wiadomości, przynosił je i opowiadał chłopom.

W tym czasie w lutym 1919 r. nastąpiły zmiany w gospodarce dziadka. Przyszedł z wojska najmłodszy syn dziadka, osiadł na gospodarstwie i ojciec zmuszony był szukać pracy w mieście, bo na gospodarstwie nie mogliśmy się utrzymać. Była jeszcze zima, gdy ojciec wynajął mieszkanie w Pabianicach i załadował nas w pierzyny na wozie i ze skromnym urządzeniem, jakie posiadaliśmy, przeprowadziliśmy się do miasta. W mieście panowało jeszcze bezrobocie i głód jak po każdej wojnie, ale po staraniach ojciec został przyjęty do fabryki, w której najpierw uczył się zawodu tkacza, następnie zaczął pracować już jako samodzielny robotnik. Matka nie mogła dostać się do pracy w fabryce, gdyż nie miała żadnego zawodu i aby pomóc ojcu chodziła jako praczka do lepszych domów i zarabiała na nasze utrzymanie.

Było nas dwoje dzieci, ja miałem wówczas 10 a młodszy brat 8 lat. Trzydziestokilometrowa podróż zimą na wozie podczas przeprowadzki do miasta dała nam się odczuć. **Ja zachorowałem na zapalenie nerek, a brat na zapalenie płuc. Brat pozbawiony należytej opieki lekarskiej zmarł po półrocznej chorobie, a ja cały zapuchnięty byłem w ciężkim stanie, bliski śmierci.** Zrozpaczeni rodzice wezwali lekarzy. Przyszedł jeden lekarz i drugi, ale nic nie pomogli. Wreszcie przyszła moja chrzestna, starsza już kobieta i powiedziała ojcu, że nie ma innego wyjścia, tylko niech jej posłucha i uczyni to, co mu powie. Poradziła ojcu napompować zimnej wody ze studni do balii, zanurzyć płachtę lnianą w tej wodzie, wykręcić ją, owinąć mnie całego, a potem okryć pierzyną i położyć na 20 minut. Ojciec bał się początkowo tej kuracji, ale widząc mój stan zdecydował się i postąpił według wskazówek chrzestnej.

Po zawinięciu mnie w płachtę doznałem uczucia, że za chwilę umrę. Stało się jednak inaczej. Po 20 minutach odkryto mnie z pierzyny i odłożono płachtę, która cała parowała potem. Wykręcono płachtę i jeszcze raz mnie nią owinięto. Po piętnastu minutach odjęto ją znowu i zawinięto mnie w suchą płachtę. Użyło mi, to i zacząłem usypiać. **Chrzestna obserwując mnie powiedziała ojcu, że będę żył.** Niebezpieczeństwo minęło. Nie pozwoliła mi tylko usnąć. Po

Park Krajobrazowy Międzyrzecza Warty i Widawki

Czesław Grądzki - wspomnienia (fragmenty stron 49-55)

dalszych piętnastu minutach odjęto kolejną płachtę, całą moką od wydzielonego potu. I o dziwo, spuchlizna zaczęła opadać, poczułem się głodny. Od dwóch dni nic przecież nie chciałem jeść. Ojciec ucieszony dał mi na co tylko miałem ochotę, ale po troszeczku, gdyż byłem wygłodzony. Na tym skończyła się kuracja. Usnąłem, lecz ojciec co chwilę mnie budził w obawie, bym nie usnął na zawsze. Na drugi dzień przyszedł lekarz. Zobaczył mnie w zupełnie innym stanie niż się spodziewał. Zdziwiony spytał ojca, co się stało. Ojciec opowiedział mu, co uczynił. Lekarz wprawdzie zbeształ ojca za dokonanie takiej końskiej kuracji, ale był mocno zainteresowany zarówno jej systemem, jak i wynikiem. Potem mnie zbadał, przepisał lekarstwa i poszedł. Ojciec już go więcej nie wzywał. Byłem silnie osłabiony chorobą, ale poprawa następowała szybko. Ojciec przynosił mi do jedzenia co tylko mógł, ażeby jak najprędzej powrócić do sił i zdrowia. Dziękował swej kumie, że mu uratowała syna. **Zobacz również:**